



GDZIE TO

GDZIE

ZAGRAŁY TRĄBKĄ MYŚLIWSKIE?..

Organ Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich

POD REDAKCJĄ MICHAŁA K. PAWLIKOWSKIEGO

KOMITET REDAKCYJNY: BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI, WŁODZIMIERZ KORSAK, MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI, JAN BOROWSKI, LEOPOLD PAC-POMARNACKI

TOWARZYSTWO ŁOWIECKIE ZIEM WSCHODNICH

zmieniło lokal i mieści się obecnie pod adresem: Wilno, Wielka 66 (Dyrekcja Lasów Państwowych)

Bażanty czy cietrzewie?

Temat aktualny... A przynajmniej w jego drugiej części, a to z tego względu, że sprawa cietrzewi wywołała małą burzę na ostatnim walnym zebraniu Tow. Łowieckiego Ziem Wschodnich... Część myśliwych, a w ich liczbie większość delegatów łowieckich Województwa Wileńskiego i Nowogródzkiego opowiedziała się za rozszerzeniem czasu ochronnego na cietrzewie; druga część (stanowiąc, nawiasem mówiąc, większość obecnych na Walnym Zebraniu) uchwaliła domagać się pozostawienia obecnego stanu rzeczy...

Bażanty, czy cietrzewie... Niejeden z myśliwych kresowych może zapytać: — a cóż koniec końców obchodzić nas mogą bażanty?! wszak bażanty nie są zwierzyną kresową! Niech troska o bażanty będzie udziałem myśliwych zachodnich, my troszczymy się tylko o cietrzewie!...

Bażanty, czy cietrzewie... Pod tym tytułem ukazał się w nr. 15 „Łowca Polskiego“ artykuł znanego pisarza łowieckiego p. Mieczysława Mniszek - Tchorznickiego. Autor, prowadząc od kilku lat w pow. siedleckim obserwacje nad współżyciem bażantów i cietrzewi, zauważył, że w rewirach, gdzie dawniej było sporo cietrzewi, po wprowadzeniu hodowli bażantów cietrzewie wyniosły się zupełnie, względnie — ilość ich zmniejszyła się o 90%. Odwrotnie, gdy hodowla bażantów zaczęła z różnych powodów upadać, cietrzewie wróciły i zajęły nagle swoje rewiry. Słowem, według obserwacji Autora, cietrzewie są wypierane przez bażanty. Dodajmy od siebie: podobnie, jak szaraki przez króliki, jak bielaki przez szaraki... Autor nader oględnie nie forsuje swej tezy, lecz zwraca się do myśliwych-hodowców z prośbą o wypowiedzenie się w tej materii...

Myśliwy-kresowiec znów się zachęca: — cóż nas obchodzi wypieranie cietrzewi przez bażanty, skoro nie mamy bażantów?!... Wszak u nas na kresach po kłusownikach, psach i kotach, jastrzębiach i lisach, bażanty mogą być chyba tylko ostatnim, niemal humorystycznym „wrogiem“ cietrzewi?!...

Otoż nie jest tak zupełnie. Po pierwsze, mamy w administracyjnej Wileńszczyźnie (t. j. nie licząc Nowogródziny),

5 zarejestrowanych ośrodków hodowli bażantów. Ponieważ przykład jest zaraźliwy, przeto za lat parę możemy mieć kilkanaście takich ośrodków. Po drugie — jeżeli stwierdzimy, a sądzę, stwierdzić musimy, że ilość cietrzewi na kresach stopniowo i stale się zmniejsza, tedy nie powinniśmy lekceważyć żadnego, choćby najdrobniejszego czynnika, wpływającego ujemnie na rozmnożenie cietrzewi. Te dwa względy są, zdaniem moim, dostatecznym powodem, by i w naszych północno-wschodnich warunkach zastanowić się nieco nad sprawą współżycia cietrzewi i bażantów.

Czem jest bażant? W naszych warunkach jest to piękny ptak egzotyczny, sztucznie hodowany, który — jak daleko historia ziem naszych sięga — nigdy nie był u nas zwierzyną tubylczą, naprawdę dziką. Bażant poza emocją efektownego strzału, żadnego głębszego zadowolenia nie daje myśliwemu. Wpraw-

dzie hodowla bażantów może dać hodowcy poważne zyski, ale to już z myślistwem mało ma wspólnego, a na północno-wschodzie jest z różnych względów bardzo wątpliwe. Wreszcie, ale to już moje zdanie czysto osobiste, bażant dostarcza mięsa o niewyraźnym, mdłym smaku, mięsa niemającego w sobie ani pikanterji dzicyzny, ani delikatności, powiedzmy — indyjski lub pułardy...

A cietrzew? Jest to prześliczny ptak dziki, dostarczający myśliwemu niezmiernie wprost różnorodności emocyj: toki wiosenne, wloczega z wyłłem, polowanie z podjazdu, polowanie z jamek śnieżnych... Melodyjne bulgotanie tokującego cietrzewia, słyszalne w pogodne ranki na parę kilometrów, trwające bez przerwy od końca marca do końca maja, jest bodaj najmiłszym tłem dźwiękowym symfonji wiosennej w Przyrodzie... Cietrzew-kogut w szacie godowej to bodaj najpiękniejszy nasz ptak łowny... Nie jest wprawdzie tak wspaniały, jak głuszec, ów „mszarów dygnitarz“, co naksztalt czar-

nego samolotu zatacza wiraż na tle zorzy wieczornej i z trzaskiem ląduje na sosnie... Ilek ma jednak zawiadjackiej, romantycznej, czupurnej elegancji nasz czerwonoobrewy rycerzyk czarny, gdy „czuszyknawszy“ kilkakrotnie w stronę nienawistnych konkurentów, — pochylił zwolna głowę, roztoczy ogon lirowaty i rozpocznie swą pieśń dziwną, którą białorusini na mowę ludzką tak przetransponowali: „twoj pãrobok majemu pãrobku tapor ukrau — skaży twajemu pãrobku kab majemu pãrobku tapor ad-dau“... Przy właściwym akcentowaniu wyrazy te bardzo dowcipnie odtwarzają bulgotanie tokującego cietrzewia. Wreszcie, przechodząc ze szczytów romantyzmu na niziny sztuki kulinarnej, zaznaczyć wypada że mięso cietrzewia umiejętnie przyrządzone jest prawdziwą gratką dla smakoszy: po jarząbku jest cietrzew najwykwintniejszym daniem.

Względem ostatni. Kwestja hodowli bażantów jest kwestją czysto - hodowlaną. Ostatniego zdania nie należy rozumieć, jako: „masło maślane“... Gdy mówimy o hodowli bażantów, to tak, jakbyśmy mówili o hodowli kur, indyjek, perliczek... Natomiast gdy mówimy o hodowli prawdziwej zwierzyny, a w jej liczbie cietrzewi, to właściwie operujemy szeregiem niewiadomych z dziedziny hipotez, prób i pobożnych życzeń. Innymi słowy: przy pewnej umiejętności wprowadzenie bażantów do łowiska, gdzie ich nigdy nie było, jako też do łowiska, gdzie były, lecz wyginęły — jest rzeczą dość łatwą. Inaczej rzecz będzie się przedstawiała, gdy cietrzewie w danym łowisku wyginą doszczętnie i zechcemy je tam „hodować“...

Celem niniejszego artykułu nie jest bynajmniej zniechęcenie pp. myśliwych do hodowli bażantów. Kreśląc moje uwagi miałem na widoku dwie tezy:

1. Obowiązkiem myśliwego jest utrzymanie i rozmnożenie w swym łowisku przede wszystkim dzikich zwierząt łownych tubylczych t. j. właściwych danemu regionowi.

2. Hodowla zwierzyny obcej danemu regionowi, a więc poniekąd — egzotycznej powinna się odbywać oględnie, z namysłem, na podstawie długoletnich prób i doświadczeń.

Michał K. Pawlikowski.

Ze zjazdu delegatów łowieckich w Wilnie 29. III. 1936 r.



(Siedzą pp.: pułk. M. Buczyński, W. Korsak, kpt. J. Henneberg, B. Świętorzecki, W. Łuczyszewski, S. Truchanowicz, J. Laskowicz, J. Pawłowski, A. Sotnian, K. Erdman, Z. Umiński)

PIÓRKA Z KACZEGO OGONA

W nr. 5 „Wileńskiego przeglądu prawniczego“ p. Józef Zajkowski, pisząc o teorii Petrarzyckiego, rzucił mimochodem taką myśl:

Jeśli jednak nie mamy katedr kulinarii i myślistwa, to wcale nie dlatego, żeby temu stały na przeszkodzie jakieś względy logiczne, lecz tylko dlatego, że nauki takie nie są tymczasem potrzebne.

Ze autor stawia sztukę kuchenną na jednym poziomie z łowiectwem — to jego pogląd osobisty, z którym polemizować nie zamierzamy. Pragniemy tylko zaznaczyć, że katedra łowiectwa już widocznie jest „tymczasem“ potrzebna, skoro łowiectwo było wykładane w Puławach już przed 100-u laty, zaś katedry łowiectwa istnieją obecnie w Poznaniu (prof. Schechtel) i nawet w Wilnie (prez. Świętorzecki).

* * *

Wiosną r. b. na Wilji w pobliżu mostu zwierzynieckiego zagnieżdził się perkoz. Przebywał tak blisko mostu, że niewprawny nawet ornitolog mógł dostrzec gołym okiem charakterystyczne u perkoza dwuczubnego (podiceps cristatus): podwójny czubek na głowie i nastroszoną „kryzę“ (obrózkę). O tem ciekawem zdarzeniu umieściło wzmiankę „Słowo“, przy czym autor wzmianki poplątał nazwy: kurka wodna, kaczka dzika i — nurek. Wzmianka ta oburzyła bezimiennego ornitologa z „Kurjera Wileńskiego“, który zwymyślawszy sprawozdawcę „Słowa“ za „bałamuctwo“, napisał:

Okolicznością obciążającą jest, że powyższy elaborat ukazał się w piśmie wydającym dodatek łowiecki „Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie...“

Wynikałoby, że redaktor „Trąbek myśliwskich“, wydawanych wprawdzie przy „Słowie“, lecz przez Towarzystwo Łowieckie Ziemi Wschodnich*), powinien być cenzorem myśliwsko-przyrodniczym każdego numeru „Słowa“. Ha, cóż: — można i taką koncepcję wysunąć...

*) „Trąbki“ są redakcyjnie zupełnie niezależne od Redakcji „Słowa“, czego dowodem jest fakt, że w rubryce „Piórek z kaczego ogona“ nieraz dostawało ciągi samo „Słowo“ za różne gaffy łowieckie.

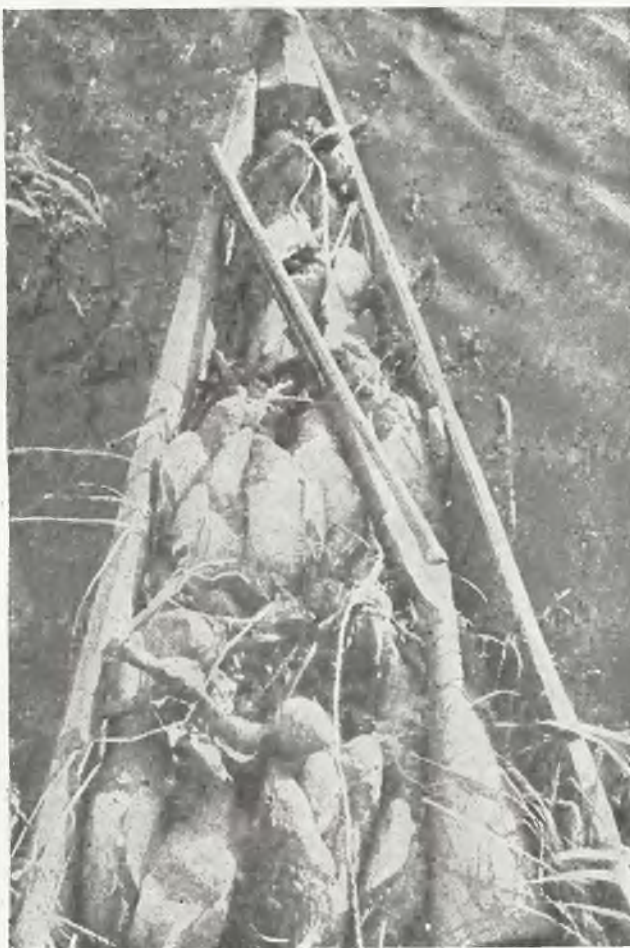
—:—:—

Dnia 10 października 1936 roku upływa 10 lat od chwili ukazania się pierwszego numeru „Trąbek myśliwskich“. W celu upamiętnienia tej rocznicy wydajemy w niedzielę dnia 11 października r.b. specjalny, jubileuszowy numer „Trąbek“ o podwójnej objętości. Wszystkich czytelników i przyjaciół „Trąbek“ prosimy o nadsyłanie nam fotografii, rysunków i artykułów do tego numeru jubileuszowego.

REDAKCJA.

Jeno, że „cenzura przyrodnicza“ przydałaby się i „Kurjerowi Wileńskiemu“, którego ornitolog redakcyjny napisał czarno na białym: „perkoz, czyli nur“... Otóż: jeśli pouczać, to pouczać... Istotnie kurka nie jest kaczka, a kaczka nie jest nurkiem... Niestety jednak — i perkoz nie jest nurem. Zarówno perkoz (podiceps), jak i nur (colymbus) należą wprawdzie do jednego rzędu „nurowatych“ (colymbiformes), stanowią jednak dwie osobne rodziny, tem się różniące pod względem klasyfikacji naukowej, że nury mają palce spięte błoną pławną, tak, jak kaczki, natomiast perkozy mają palce obrzeżone płatkowatymi, niezrośniętymi błonami. Praktyczna różnica polega na tem, że perkozy gnieżdżą się w Polsce i są u nas dość pospolite, zaś nury tylko przelatują wiosną i jesienią...

Biedny perkoz spod mostu zwierzynieckiego doczekał się literatury... Szczęściem — znikł tak nagle, jak się zjawił, a razem z nim znikło jedno z nielicznych źródeł inwencji reporterskiej w sezonie ogórkowym.



TROFEA WIOSENNE

fol. M. Bordwski.

Ku uwadze P. P. ornitologów-amatorów

Zbliża się okres polowań letnio-jesiennych. Nieraz zdarza się w tym okresie, że myśliwy ubija jakiś mniej lub więcej ciekawy okaz ptaka i pragnie go zakonserwować, czy to dla celów naukowych, czy też poprostu „na pamiątkę“. Niestety, nie każdy wie, jak się do tego zabrać i z tej racji dużo okazów, nieraz rzadkich i pięknych, ginie bezużytecznie... Otóż pierwszym przykazaniem ornitologa-amatora powinno być: „nie bierz się do rzeczy, na której się nie znasz, lecz daj ją wykonać specjalście“. Myśliwy, który ubił ptaka i chce mieć go wypchanego, musi przeto ograniczyć się do czynności czysto ochronnych (wstępnych). Żadnego samodzielnego zdejmowania skórki lub wypychania, bo tylko zniszczysz okaz!... Myśliwy powinien tylko: 1) ostrożnie obchodzić się z ubitym ptakiem, by nie połamać i nie pognieść

piór; 2) pióra poplamione krwią posypać kąkartoflaną lub gryczaną; 3) nie patroszyć ptaka — gdyż dostęp powietrza do wnętrza zwiększa proces psucia się; 4) przy wysyłce pocztą złożyć ptaka do sztywnej tektury, lub jeszcze lepiej — do tekturowego pudełka, a to celem ochrony piór przed połamaniem; 5) ubitego ptaka wysłać pocztą, jako paczkę żywnościową. — Nieraz słyszy się narzekania pp. myśliwych, posiadających wypchane okazy, że okazy te zostały źle wypchane, gdyż niszczą się prędko. Narzekania takie są najczęściej niesłuszne. Wypchanego ptaka powinien sam myśliwy stać konserwować, a nie ulegnie zniszczeniu przez dziesiątki lat. Sposób konserwacji jest wielce prosty: co czas pewien trzeba ptaka, dobrze oczyszczonego od kurzu, posmarować (obmyć) watką umoczoną w terpentynie, w której rozpuściło się trochę naftaliny. Taki zabieg będzie nie tylko świetnym środkiem na mole i inn. robactwo, lecz przywróci piórom piękny połysk naturalny. — Bliższych informacji co do sposobów preparowania i konserwowania ptaków udziela chętnie pracownia przyrodnicza p. Wacława Szczurkiego, Wilno, ul. S. Jańska 7. W. S.

W martwym sezonie

Choć słonki już nie ciągną i przebrzmiały toki, lato ma dla myśliwca też swoje uroki... Choć lipiec nie za pasem — kaczki jeszcze w puchu Myśliwy tkwić nie może w nudzie i bezruchu!

Nawet w „martwym sezonie“ nie braknie roboty: Tu na konto czekowe płacisz dziesięć złotych Towarzystwa Ziemi Wschodnich za cały rok zgóry; Tu znów, czując potrzebę łowieckiej lektury, Na werandzie w leżaku tasiadłszy wygodnie, Przeglądasz „Łowiec Polski“ lub „Myślistwo Wschodnie“, Albo — żądny poważnej, naukowej strawy — Czytasz Świętorzeckiego „Łowiectwa podstawy“...

Słowem: czy w mroźny styczeń, czy w lipiec upalny, Zawsze znajdzie zajęcie łowiec kulturalny! F.

O CZEM MY W WILNIE NIE MARZYM...

Nieraz na łamach „Trąbek“ wychwalałem z rzetelnym szacunkiem i szczerym entuzjazmem kulturę łowiecką Małopolan. Nieraz stawałem ich za przykład Wilnianom, którzy lubią krytykować robotę cudzą, lubią patrzeć wilkiem spodłba na nietutejszych, lecz sami do pracy twórczej nie są zbyt skorzy. W szczególności — nieraz podkreślałem zasługi i streszczałem dzieje najstarszej w Polsce organizacji łowieckiej — Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie. Entuzjazm mój posuwał do tego stopnia, że nawet ze strony zakorzałych Wilnian spotykałem się ze straszliwym epitetem „galileusza“... A propos tego epitetu — mała uwaga: — bezwątpienia z zarzutu galileuszostwa nie można oczyścić się w sposób tak prosty i plastyczny, jak z zarzutu niearyjskości; bezwątpienia trochę racji miał feljetonista „Słowa“ pisząc przed paru laty o pożeraniu nieobrotnych tłustych raków wileńskich przez przedsiębiorcze zwinne raki galicyjskie; bezwątpienia dla kresowca pur sang epitet „galileusza“ jest obrazą czwartego stopnia według kodeksu honorowego Bożewicza (nota bene — też galileusza) —

jednak, Bogiem a prawdą, działaczowi łowieckiemu epitet taki jeno zaszczyt przynieść może! Bo, zważmy tylko...

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie powstało we Lwowie w roku Pańskim 1876 i w roku bieżącym obchodzi uroczyste 60-tą rocznicę swego istnienia... Małopolskie Towarzystwo Łowieckie było przed długie lata jedynym na ziemiach polskich zrzeszeniem łowieckim **ideowem**... Małopolskie Towarzystwo Łowieckie wydaje od 58 lat własny organ prasowy „Łowiec“... W dniu 1 czerwca r. b. Redakcja „Łowca“ wydała specjalny zeszyt poświęcony „XXXV zjazdowi łowieckiemu w 60 rocznicę założenia Towarzystwa“.

Ten zeszyt pamiątkowy każdy myśliwy polski weźmie do ręki nie tylko ze szczerą radością łowiecką, lecz i z głębokim zadowoleniem estetycznym: prześlizgną, skromna lecz wysoce artystyczna okładka stanowi piękną prezentację wstępną numeru i zachęca do przejrzenia kart. Wielka szkoda, że studując ten pamiątkowy zeszyt do deski, nigdzie nie znalazłem

tysty, który okładkę tę komponował. Należałoby się mu bowiem słowa gorącego uznania — niemal równe słowom uznania i podziwu, na które zasłużyli Redaktorzy. Redaktorzy — w liczbie mnogiej, gdyż do pracy nad zredagowaniem tego zeszytu pamiątkowego obok „normalnego“ redaktora „Łowca“ p. Alberta Mniszka, znakomitego pisarza i poety łowieckiego, który, nawiasem mówiąc, obchodził w roku ubiegłym 30-lecie pracy pisarskiej, stanął — niemniej znakomity pisarz i bibliofil łowiecki dr. Witold Ziembicki. I znowuż w nawiasie: — dr. Ziembicki, wielki, wypróbowany przyjaciel naszych „Trąbek“ wileńskich, jest od szeregu lat członkiem rzeczywistym Towarzystwa Łowieckiego Ziemi Wschodnich...

Piękny, bez żadnej przesady — bardzo piękny numer!

Pod tradycyjną już, bo wykonaną w r. 1882 przez samego Juliusza Kossaka, winjetą tytułową treść numeru rozpoczyna wiersz Aleksandra Fredry „Dawne polowanie“ pisany w roku 182*, a drukowany w „Łowcu“ w r. 1878.

Dalej idzie wzmianka pióra p. Adama Sołtysa poświęcona pamięci założyciela M. T. Ł. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. Dalej — reprodukcja dokumentu z r. 1876 (podpisana

przez założycieli prośba do Namiestnictwa o rejestrację zakładanego M. T. Ł.). Reprodukcję podał i przypisem zaopatrzył dr. Ziembicki. Dalej — dzieje M. T. Ł. w okresie lat 1926 — 1936 skreślone przez p. Alfreda Sandera. Dalej artykuł przewodniczącego Państw. Rady ochrony przyrody prof. dr. Władysława Szafera p. t. „Nasze wspólne zadania“, omawiający niezliczone punkty styczności idei ochrony przyrody z prawidłowym łowiectwem. Dalej — szkic p. Adama Starzeńskiego o „rekordach“ (myśliwskich)...

Jakby specjalnie dla nas, kresowców, a zwłaszcza kresowców zakordonowych napisał dr. Witold Ziembicki ciekawy szkic o Arturze Bartelsie. Artur Bartels! Ileż rzewnych, a zarazem mocnych, jak starła lub dobre wino, uczuć obudzi w kresowcu samo brzmienie tego nazwiska. I — niestety — ile znajdzie się współczesnych, głuchych na ruszczyzny zew prześwieconej dawności i dostojnej tradycji, którzy jeno zastrzygają uszami ze zdziwieniem, gdyż nazwisko „Bartels“ nic im nie powie! I ze smutkiem powtórzmy słowa ś. p. Czesława Jan-kowskiego: „od ginącego świata, wczorajszego jeszcze, coraz lżej, a nawet skwapliwiej odwracają się oczy ludzkie, pamięć ludzka“... (Cze

SŁATKA MYŚLIWSKA

W dniu 24 maja r. b. będzie bezwątpienia historycznym w dziejach łowiectwa polskiego. W dniu tym Walne Zgromadzenie Polskiego Związku stowarzyszeń łowieckich uchwało **nowy statut Związku**. Nowy statut wnosi trwałe podwaliny organizacyjne pod gmach przyszłego łowiectwa. Według nowego statutu: a) Związek jest zrzeszeniem nie, jak dotąd, stowarzyszeń, lecz związkiem osób fizycznych t. j. myśliwych; b) struktura Związku jest dostosowana do podziału administracyjnego Państwa: Rada Naczelna w Warszawie, Rady Wojewódzkie w województwach, Rady Powiatowe w powiatach; c) rola t. zw. delegatów powiatowych, którzy będą się nazywali „łowczymi“ jest ściśle i wyraźnie określona. Na ogół nowy statut jest dostosowany do wciąż wyczekiwanej z utęsknieniem noweli prawa łowieckiego, która, jak wiadomo, ma wprowadzić przymus należenia myśliwych do Związku. Po zatwierdzeniu statutu przez władze napiszemy o nim obszerniej. Chcemy tylko dziś zaznaczyć, że rozwój Związku na nowych zasadach organizacyjnych będzie pomyślny o tyle, o ile zostanie przełamana dotychczasowa bierność i ospałość większości naszych pp. myśliwych.

Z prawdziwą satysfakcją dzielimy się z Czytelnikami wiadomością o pożytecznej innowacji wprowadzonej przez nasze władze państwowe. Starostwa wojew. wileńskiego przystąpiły do **bezpłatnego** rozdania wszystkim posiadaczom kart łowieckich drukzków zawierających aktualne w bież. sezonie **czasochronne** dla zwierzyny. Drużki wykonane są na sztywnym papierze i mają format nadający się do wkładania do karty łowieckiej. Jak wiadomo — drużki takie, rozsyłane przedtem przez P. Z. S. Ł., były płatne. Prócz tego wszystkie posterunki P. P. i gminy na obszarze wojew. wileńskiego zostały zaopatrzone w tablice ściennie aktualnych czasów ochronnych.

Związek propagandy turystycznej rozpiął ankietę na temat, mniej więcej, taki: — co turystę najbardziej interesuje? „Czy uwierzycie państwo — pisze feljetonista I. K. C. — że nie było dosłownie jednego uczestnika ankiety, któryby pozycji: **chcę zwiedzić ogród zoologiczny**, nie podkreślił grubą kreską. Oto najpopularniejsza atrakcja... dla przybyszów z prowincji! Któżby pomyślał!“ — Pozostawiając na stronie ostatni wykrzyk feljetonisty I. K. C., jako świadczący o słabym orjentowaniu się w gustach szerokiej publiczności, dodajmy, że uczestników ankiety było... 5.000 (wyraźnie — pięć tysięcy). — Warto, naprawdę warto, by o tym wyniku ankiety Z. P. T. dowiedziały się „czynniki miarodajne“, od których zależy przyspieszenie przeniesienia naszego wileńskiego „Zoo“ na nowe, wspaniałe tereny na Antokolu.

CZY CZYTASZ I PRENUMERUJESZ „ŁOWIEC POLSKI“ CENTRALNY ORGAN ŁOWIECTWA POLSKIEGO?

sław Jankowski: „Z czeczotkowej szkatułki — odgłosy ginącego świata“, Wilno, nakład i druk M. Latour'a 1926. O Bartelsie str. 41 — 48). A szkoda! Bo Bartels — to nie tylko zapomniany, nieaktualny już dziś satyryk... Bartels — piosenkarz, kompozytor, pisarz, autor dramatyczny, poeta i malarz w jednej osobie, to niestety brawurowy, niepospolicie bujna emanacja „esprit“ kresowego... I nawet wstyd jakoś, że Lwów lepiej pamięta Bartelsa, niż Wilno — Wilno — ostatni bastion kresowego ducha... Że ze zgonem ś. p. Czesława Jankowskiego odeszła w zaświaty ostatnia pobudka do wydania zbioru utworów Bartelsa w opracowaniu „kresowym“... Dr. Ziembicki w szkicu swym zaopatrzonego w portret Bartelsa i reprodukcję jego oryginalnego rysunku myśliwskiego na drzewie sosnowym, słusznie podkreśla, że „gdy piosenka przebrzmiała, gdy karykatury straciły aktualność, gdy sztuki teatralne pokrył pył starzyzny — to myśliwskie opowiadania, opisy i poematy niemniej są wartościowe dziś, niż miały wtedy, gdy wychodziły z pod złotego pióra Bartelsa“... Słusznie też dr. Ziembicki nazwał słynny poemat Bartelsa „Tydzień Poleski“ klejnotem pierwszorzędnej piękności... Dodajmy od siebie, że mała popularność „Tygodnia Poles-

PP. Julianostwu Laskowiczom poświęcam.

Powitała mnie Piatkowszczyzna uśmiechem lazururowego bez chmurki nieba i kokieterią uśmiechniętej wiosennej ziemi. Wtulona w cień rozłożystych, szmaragdowych kasztanowców, zdobnych w stożkowate wiechy kremowego kwiecia — odbijała się jaskrawo ciemnym kołorytem od śnieżnej plamy kwitnących sadów, gdzie drzewa upudrowane różem i bielą słały się długimi pasmami hen, daleko, aż ku błękitnej wstędze stawów, okalających piękną rodową siedzibę. A przymglony oddaleniem widnokrąg zamykały zębate ściany lasów — ostoja pieczołowicie przez gospodarza chronionej zwierzyny. Tam ścieżką udeptaną przez niedostępne rojsty przemyka się do gniazda para wilcza, tam lis sznuruje pośpiesznie ku żerującym pod groblą kaczkom i licznie pomykają długosłuche szaraki. A na polankach toczą się rozkochane cietrzewie, w zbożach wabią się liczne pary kuropatw, przysłuchując się, czy odpowiedzą im z łąk gderliwe derkacze, albo strojne w szaty godowe samce bataljonów.

Taką jest Piatkowszczyzna, wspaniałe łowisko krainy Mickiewicza, jeden z ośrodków twórczej myśli i czynu łowieckiego w woj. nowogródzkim. Że o nim cicho dotąd na Ziemiach Wschodnich — to tylko dzięki wrodzonej skromności Sz. Gospodarzy, którzy nie lubią chępić się tem — co dla łowiectwa zdziałali. A jednak wszędzie tutaj odczuwa się to ich wielkie umiłowanie sprawy, której oddani są całą duszą.

Tuż obok dworu rozprzestrzenia się złoty, rozświetlony bór sosnowy, taki sobie zwy-

czajny kompleks leśny, jakie ciągną się od Grodna aż ku Dźwinie. Można przezeń przejść i nie osobliwego nie zauważyć. Ale oko myśliwego wszystko dostrzeże. Ot tam, na dukcie leśnym zieloną szczecinę sterczy zasiany dla zajęcy żarowiec. Nieco dalej kołysze się w wietrze zagoniek lubinu trwałego, a pojedyncze jego kępy rozrzucone są dosłownie wszędzie. Obfitość pożywienia sprzyja rozmnoży zwierzyny, której jest z każdym rokiem więcej.

Miło jest w Piatkowszczyźnie wyjść wczesnym rankiem na groblę i ogarnąć wejrzeniem lazururową taflę stawu, oprawioną jak szafir w złoto trzcinyowego szuwara. A kiedy duży, lśniący jak mosiądz dysk słońca wzniesie się wysoko nad cięciwą horyzontu i oświeci jarzącą się migotliwie powierzchnię wody, wtedy rozchyli się dyskretnie badyle sitowia i mignie w nich stadko ciemnych kłapaczy kaczek, albo wystrzeli jak rakietą w górę piękna sylwetka orla rybolowa, na widok którego zachmurza się marsowo oblicze gospodarza w trosce o los swych utuczonych karpi-pieszczochołów.

Miło jest także zagłębić się na godzinkę w zielony labirynt rozległego sadu, między szpalery rozkrzewionych porzeczek i wybielonych jabłoni. Jest ciepło. Słońce lubą piaskotą otula ogród. Brzęczą pszczoły. Różowo-biała powłoka kwiecia okrywa drzewa tak szczerze, że nieśmiało tylko gdzieś tam odważy się wydrzeć się z pod niej ku słońcu szmaragdowy listek. Zapach miodu wypełnia powietrze ciekliwym, odurzającym tchnieniem, które wpływa do płuc jak balsam. Ciepło rozmarza. W takim otoczeniu maleją wydarzenia życia codziennego, bledną kłopoty i troski. Myśl pracuje niedbale,



ZACHÓD SŁOŃCA NAD PRYPECIA

fol. M. Boroński.

umysł leniwieje — a jednak jakże miła jest taka beztroska, taka rozkoszna ekstaza, kiedy wzrok błądzi w zachwyceniu po oblepionych kwieciami drzewach, podczas gdy dusza ulatuje w niedoścignione bezmiary zaświatów. A około trzepocą się i świergocą niezliczone rzesze szpaków, zięb i pokrzewek, mających tutaj swe siedliska. Chciałoby się tak siedzieć całymi dniami.

Lecz gościnny gospodarz już nowe obmyśla atrakcje. Kamienistą polną drożką jedziemy ku błotom na bataljony, których jest tu sporo. Toczając się i podskakując mijamy bryczka rozrzucone w oddali wsi, osady, zagrody, wspina się na wzgórze i zjeżdża po ich pochyłościach. Wreszcie jesteśmy na miejscu.

Rozległy, zielony bezmiar łąk i mokradel biegnie płaską równiną aż ku cięciwie horyzontu. Rzadkie krzaki olszyny rozpraszają monotoność okolicy i przyciągają wzrok kopulastym kształtem szmaragdowych plam. Dziesiątki żółtych czajek krążą nad głowami jęklawie zawodząc, lub imponując człowiekowi zawrotnością podniebnych „loopingów“. W dali warczą kszuki tremolem minorowego akordu.

Są i bataljony. Na czarnych taflach grząskiego bagna rozsiadły się jak egzotyczne kwiaty barwne samczyki. Są prześliczne. Ich kolorowe peleryny kołnierzy mieniają się w słońcu rozliczną skalą barw od złota i czerwieni, od szwizny i bieli, poprzez tysiące odmian i odcieni ubarwień oraz kompozycji, aż do lśniącego granatu, czy jarkiego fioleto lub zieleni włącznie.

Szał wiosennej namiętności zawładnął ich ptasiemi sercami. Rzucają się w niemej nienawiści na siebie strosząc pióra i rozwierając długie, choć słabe dzioby. Podskakują, tarzają się, rwą pazurkami i dziobami, aż sypie się pierze z bufiastych ich płaszczyków. Turnie błotnych Romeów wre w całej pełni. A tymczasem Julje żerują spokojnie wśród traw — nie interesując się zbyt losem rycerskich swych małżonków, ani batalistycznymi efektami walki. I rzadko tylko który amant uzyska dowód ich gorętszego uczucia, krótkiego zresztą i niestalego.

Grzęząc powyżej kolan w czarnym, torfiastym bagnie, kołysząc się na pływającej skorupie mchów „pławunów“, idziemy ku tokowiskowi bataljonów. Dojrzały nas i obserwują bacznie każdy krok, poruszenie dwunożnych potworów, każdy błysk polerowanych łuf... Aż wreszcie nerwy ich nie wytrzymały. Piękny bukiet wlatujących ptaków wzbił się w powietrze, a na łące mignął słup ognia i dymu, krótki głuchy jęk jak suche kasznięcie targnął okolicą. Niskim nadziemnym łukiem spadło w trawę martwe ciało długodzioba, lśniącego wśród zieleni jak klejnot. A na oddaloną kałużę usiadły już nowe bataljony.

Siedem dni pobytu w Piatkowszczyźnie zleciało jak krótka chwila, siedem dni upojnych łowów, miłych rozmów i spacerów po kniej, lub nad brzegami stawów, w których przesuwają się tajemniczo królewskie karpie — zapi-

(dokończenie art. na str. 4-jej)

kiego“ jest fakt cytowania go dziś jeszcze z pamięci przez szereg myśliwych-kresowców. I słusznie pisze dr. Ziembicki na zakończenie, że najlepszym uczczeniem pamięci Bartelsa będzie wydanie zbiorowe jego pism myśliwskich. Zapewne — ale kiedy to nastąpi i — kto się zajmie „inwentarzem wszystkiego co po nim (Bartelsie) zostało: piosenek, rysunków, ilustracji do własnego tekstu“ (Cz. Jankowski, op. cit.)?...

Wypada wyrazić żal, że tak świetny szkic dr. Ziembickiego o Bartelsie, oparty na wielu źródłach, a między innymi, na błyskotliwych, lecz nieco „z drugiej ręki“ napisanych „Szczegółowych latach“ Melchiora Wańkowicza, nie uwzględnił wspaniałej, cytowanej już przeze mnie „Czechotkowej szkatułki“ ś. p. Czesława Jankowskiego.

Ale wracam do treści numeru jubileuszowego „Łowca“.

Po wspomnieniu o Bartelsie idzie krótkie studium psychologiczne o emocji myśliwskiej red. Alberta Mniszka p. t. „Kiedy serce mocniej bije“... Dalej — ciekawe wspomnienie z polowań afrykańskich p. Antoniego „Łowca“ który przed paru laty publikował w „Łowcu“ wielce zajmujące

waniach na lwy i słonie... Bar. Goetz-Okocimski w krótkim apelu p. t. „Refleksje“ uskarża się że myśliwi małopolscy za mało piszą o polowaniach w Karpatach. Pan S. G. i p. Edward Skowroński podają krótkie wspomnienia o psach — tych najwierniejszych przyjaciół myśliwego. Pan Władysław Guertler w nowelce „Zemsta borsuka“, opartej na prawdziwym zdarzeniu, daje nam emocjonujący fragment z życia zwierzęcego.

Tekst i nuty słynnej piosenki „Pojeździemy na łów“ zamykają numer jubileuszowy. Wypada żałować, że w tekście tym umieszczono nie przypadkowo, bo aż 4 razy — „puszczaj harty ze smyczką“. Komentator p. W. (itold) Ziembicki zaznacza iż jest to tekst z r. 1833... Uważamy, że pietyzm w stosunku do pisowni oryginalnej został tu zbyt daleko posunięty. Niestety — coraz więcej ludzi kulturalnych nie odróżnia dziś odrębności fonetycznej „h“ i „ch“... Coraz częściej piszemy i mówimy: cherbata, cherb, hata i hudy... Doprawdy przykro, że z kresowego Lwowa, gdzie ucho jest bezwzględnie czulsze na subtelności fonetyczne, niż np. w Warszawie, w druku te „harty“, choćby tylko grafia dawnego tekstu. Wyrażam nadzieję, że ta moja maleńka uszczypliwość

w długim szeregu szczerzych zachwytów nie będzie mi poczytana za szukanie dziur na naprawę pięknej całości!

Nawiązuję do tytułu niniejszej recenzji:

— Baczność, Wilnianie! Bądźcie ostrożni z epitetem „galileuszy“... Uczcie się od tych galileuszów, jak należy szanować i kultywować dawną i tradycję! Uczcie się, jak można w kresowym mieście prowincjonalnym w ciągu 58 lat nie tylko utrzymać, lecz rozwijać i udoskonalać placówkę regionalnej prasy łowieckiej... Uczcie się, jak należy w ciągu 60 lat organizować i trzymać w karbach solidarności bractwa myśliwskiego... Uczcie się, jak trzeba **pracować społecznie** (nie społecznikować)...

A na zakończenie:

— Tysiąc lat, tysiąc lat niech żyją nam — Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, „Łowiec“ i jego Redaktorzy!!!

Michał K. Pawlikowski.

SOBOL I WYDRA

(PRZYGODA)



Trzydziesty siódmy...

W Piatkowszczyźnie

(Początek artykułu na str. 3-ej)

sało się trwale i dogonnie w mej złotej księdze dobrych wspomnień. Poczyniłem tam szereg ciekawych obserwacji przyrodniczych, uwiozłem ze sobą wiele pięknych wrażeń łowieckich i co najważniejsze — stwierdziłem z radością, że polski dwór kresowy nie wyżył się dotąd wiekowych tradycji, nie zaprzepacił weyssenhofskiego stosunku wsi do dworu. Widziałem dziedzica majątku, kłęczącego obok parobka w kuchni, zamienionej w kaplicę, w której państwo odprowadzali codziennie nabożeństwo majowe, widziałem wieśniaków z całym zaufaniem przychodzących do dworu po rady i wskazówki w sprawach czysto osobistych, widziałem gospodarza rozdającego bezpłatnie leki i środki opatrunkowe. Widziałem to wszystko i cieszyłem się, że są jeszcze ziemianie, którzy szerzą i zaszczepiają dookoła zgodę, ład i poszanowanie władzy, i państwa, czego nie potrafi naruszyć żaden wiew wschodu, żadna destrukcyjna, wraza robota.

Niechże więc feljeton ten będzie dowodem dla tych wszystkich, którzy nie wierzą w możliwość zbliżenia dworu ze wsią, że możliwość ta istnieje i istnieć może, nawet w okrzykach dzisiejszych czasach.

Leopold Pac-Pomarnacki.

OSOBISTE

Wiceprezes Tow. Łow. Ziem Wschodnich p. Michał K. Pawlikowski odznaczony został przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich najwyższym odznaczeniem łowieckim „Złotą” — za całokształt działalności społeczno-łowieckiej.

Z T-wa Łowieckiego Ziem Wschodnich

Dn. 6 czerwca r. b. odbyło się kolejne zebranie Zarządu T. Ł. Z. W. — Obecni pp.: W. Łuczynski (przewodniczący), P. Grodzki, J. Łastowski, W. Korsak, L. Pac-Pomarnacki, W. Dankiewicz i M. Pawlikowski.

Zebranie było poświęcone omówieniu wykonania uchwał ostatniego Walnego Zebrania. W szczególności chodziło o jak najcelowsze wykonanie uchwały dotyczącej poczynienia kroków u Władz Szkolnych w kierunku uświadamienia młodzieży szkół powszechnych (a przez młodzież — i starszego społeczeństwa wiejskiego) o konieczności ochrony zwierząt łownych, niewybijania jaj, ochrony gniazd i t. d. Kuratorjum O. S. w Wilnie, do którego zarząd już się zwrócił w tej sprawie, ustosunkowało się życzliwie do tej inicjatywy sfer łowieckich. Po dłuższej dyskusji uchwalono prosić pp. Leopolda Pac-Pomarnackiego i inż. W. Dankiewicza o komisyjne zajęcie się tą sprawą, w szczególności o opracowanie form oddziaływania na młodzież (barwny plakat propagandowy, ulotki, broszurki etc.).

Na zakończenie uchwalono wypłacić nagrody pieniężne za skuteczną walkę z kłusownictwem:

1) post. P.P. Marjanowi Piechockiemu z post. P.P. w Kraśnem n/Uszą — zł. 20;

2) post. P.P. Kazimierzowi Matusewiczowi z post. P.P. w W. Solecznikach — zł. 25.

Na tem obrady zamknięto.

„Niema tego złego, coby na śmieszne nie wyszło”.

„Kab pan do nas kali pojechał, dyk zabiłby z paru ciecieruków. Wyletał z grafskiego lasu akurat na moje pole. Sztuk 8 czy 9”. A teren zarejestrowany? — spytałem, bo mieszkam w tych stronach od paru tygodni. Wiem, że T-wo nasze myśliwskie dzierżawi tereny od włościan, ale jeszcze dokładnie nie wiem, które mianowicie. Tubylec, zapraszający mnie na polowanie, nie zrozumiał pytania, ale opowiedział, że w roku zeszłym byli tam na polowaniu myśliwi, których znam i wiem, że należą do naszego kółka. Uspokoilem się.

Mnie długo namawiać na polowanie nie trzeba, więc następnego dnia przyjechał po mnie ten sam tubylec i pojechaliśmy. W drodze opowiedział mi, że się nazywa Sobol, że w tym roku nikt nie polował u nich i że zrobił mi budkę na najwłaściwszym miejscu. Przychodził, powiada, kilka dni temu gajowy, miał robić budki, ale mu nie dałem. Bo gdyby porządny był gajowy, to co innego. „A heta chalera, a nie gajowy”. Dobilem w zeszłym roku wydrę postrzeloną, już miałem sprzedać za jakie 100 złotych — tymczasem naprowadził na mnie policję i wydrę odebrali. „Dyk sztoż, ja hetakomu budę jeszcze pozwałać na mojem polu budki stawiać!” „No, a jak on przyjdzie dziś ze swymi myśliwymi?” — „Nie przydzie, usio rauno pahaniu”. — Jedziemy tedy. O godz. 1 po północy przyjechaliśmy do wsi, w drodze nadpędziliśmy furmankę parokonną, naładowaną myśliwymi. — „Może to do was? pytam. — „Nie powinny, ale chalera ich znać... usio rouno nie majuć prawa” — Furmanka się zatrzymała koło jednej z chat we wsi. Gdy ją omijał, usłyszałem groźne: „Kto jedzie? stoj!” — „A kto pyta?” „Oświecono mój wehikuł latarką kiszonkową, i usłyszałem głosy: „Też myśliwy ze strzelbą”. — „Tak, odpowiedziałem, myśliwy”.

Gospodarz, który mnie przywiozł, radził natychmiast iść do budki, ale że była godzina 1-a po północy i było dość chłodno, więc wstąpiłem na godzinę do chaty. Postyszałem, że towarzystwo z głośną rozmową idzie, więc wyszedłem na ulicę i zwróciłem się do myśliwych zapytując, dokąd się udają, abyśmy jeden o drugich wiedzieli i nie przeszkadzali. Odpowiedź brzmiała: „polujemy na terenach hrabiego X.” (padło nazwisko właściciela lasów sąsiednich). Grzecznie przeprosiłem i udałem się do chaty, gdzie mnie poinformowano, że, nie zważając na protest gospodarzy, gajowy ów zrobił 4 budki, 1 właśnie do tych hudek poszli myśliwi. Brat mego gospodarza poszedł za myśliwymi i przekonał się, że do tych właśnie hudek posiadali „strzelcy”. I to wszystko w pobliżu przygotowanej dla mnie budki. A myśliwych przyjechało aż sześciu. Jednak mojej budki nie zajmą, mówił mi gajowy. Nie bardzo mi się uśmiechało polowanie na tokowisku, gdzie było miejsca, może na 2-ch, a postawiono 5 hudek, jeszcze do tego gdzieś mieli być dwaj myśliwi bez hudek. Ale skoro już przyjechałem, trzeba iść. Wyszedłem z chaty na kilka minut przed godz. 2-ą (było to

21 kwietnia, tokować zaczynają cietrzewie o 2.45). Omijamy jedną budkę, drugą, trzecią. Ciemno. Ot tu panoczku... czekajcie, jakaja tut chalera?.. toż budki naszej niema... Oświecam latarką — „nec locus, ubi Troia fuit”... Kilka drobnych gałązek i udeptane miejsce... Chłopak, szczerze zmartwiony, uparł się znaleźć, gdzie się podziały gałęzie, z których była sklecona budka, ja zaś zawróciłem i poszedłem w kierunku domu. Po chwili usłyszałem za sobą rozmowę. Wszystkiego nie dosłyszałem, lecz było tam „poszedł won”, „będę strzelał” i t. d.

Mój gospodarz wkrótce nadpędził mnie, i poszliśmy do domu. Był całkiem speszony i wciąż powtarzał swoją „cholera”. „Na moim poli polujcie, da jeszcze strelać we mnie chce, chalera!” — „No niema obawy, nie strzelałby” — „Ale nie strzelałby! To przecież warjat, a z warjatem co zrobisz? Zastrelić albo skaleczyć, i szto patom!”

Gdy wracałem do domu z tym samym Sobolem na tej samej furmance, zaczynało świtać. Poranek był cudowny, cichy, zlekka mroźny, jakiego w tym sezonie wiosennym bardzo rzadko się zdarzało. Było słychać tokowanie cietrzewi... Nie żałowałem nieudanego polowania, bom w życiu swem napewno więcej nastrzelał cietrzewi, niż tamci w 6-ciu. Rozmyślałem o etyce myśliwskiej i wogóle o myśliwych. Jeden z tych panów, co to mówili, że polują na terenach hrabiego X., należał do naszego kółka myśliwskiego. O innych mówił mi mój Sobol, że to są oficerowie, ale mu nie wierzył i powiedziałem, aby nie gadał byle czego.

Czy co upolowali tego ranka, — nie wiem. Wiem tylko, że polowali nie na terenie hrabiego X., że przepędzili właściciela pola, grożąc mu (art. 271 kod. karnego), że rozwalili lub kazali rozwalić przygotowaną dla kogoś innego budkę.

Dla ścisłości w dniu następnym dowiadywałem się, czy teren ten, należący do wsi K., gdzie tak niefortunnie skończył się mój zamiar polowania, jest dzierżawiony przez T-wo, czy nie. I okazało się, że teren nie jest nawet zarejestrowany. Uśmiełem się z mej przygody i koniec końców muszę być wdzięczny tym panom za to, że nie dopuścili mnie do tego, iż miałbym na sumieniu czyn bądź co bądź kłusowniczy (ust. 2 art. 76 Ustawy Łowieckiej z dn. 3.XII. 1927 r.). A teraz niech oni to mają na sumieniu. Zresztą, aby coś mieć na sumieniu, trzeba to sumienie (łowieckie) posiadać.

Od Redakcji. Zamieszczając powyższy „obrazek”, ściśle odtworzony z natury, pozostawiamy Sz. Czytelnikom do osądzenia, czy tego rodzaju „przygody” należą do rzadkości... Prawo łowieckie — prawem łowieckim — pamiętajmy wszakże, że nawet w dzikich kolonjach afrykańskich myśliwych obowiązują pewne przepisy łowieckie... U nas, niestety, nietylko art. 76 p. 2 prawa łowieckiego jest przepisem papierowym, lecz nawet „groźny” artykuł 270-y kodeksu karnego, zabraniający pod groźbą kary więzienia do lat dwóch kradzieży łowieckiej, jest na każdym kroku gwałcony.



WABLARZ POLESKI

ot. M. Borowski.

LIST DO REDAKCJI

W nr. 2 (74) „Trąbek Myśliwskich” czytałem zamieszczony tam protokół Walnego Zebrania Tow. Łow. Ziem Wschodnich, które miało miejsce w dniu 29.III r. b. W ostatnim punkcie tego protokołu jest powiedziane, że (rzekomo na mój wniosek) walne zgromadzenie uchwaliło nie zwracać się do Władz Związkowych o rozszerzenie czasu ochronnego na cietrzewie, lecz pozostawić w sile obowiązujący obecnie termin (16.VIII).

Wyczuwam, iż zachodzi tu jakieś nieporozumienie. Udać się na zebrania, które miały miejsce w dn. 29.III r. b. nie miałem ani powodu, ani zamiaru poruszać sprawę terminów ochronnych na cietrzewie. Sprawa ta powstała bynajmniej nie z mojej, lecz wyłącznie z P. Prezesa B. Świętorzeckiego inicjatywy. W rzeczy samej, na zjeździe delegatów łowieckich, który poprzedzał Walne Zebranie, P. Prez. Świętorzecki postawił wniosek o wszczęcie starań u Władz Związkowych o przesunięcie daty rozpoczęcia polowania na cietrzewie na dzień 1 września. Wniosek ten został też większością głosów obecnych na zjeździe delegatów uchwalony.

W głębokim przekonaniu, że wspomniana wyżej uchwała zjazdu del. łowieckich jest rzeczowo nieusprawiedliwioną a statutowo zupełnie bezprawną, pozwoliłem sobie sprawę tej uchwały (nie stawiając żadnych konkretnych wniosków) podać do zaopiniowania Walnemu Zebraniu, jako najwyższej władzy Towarzystwa. Po wszechstronnem rozpatrzeniu sprawy, Walne Zgromadzenie ustosunkowało się do uchwały delegatów negatywnie i takową anulowało.

Muszę też zaznaczyć, że sprawę nieprawnej uchwały zjazdu delegatów łowieckich, podałem do wiadomości Walnego Zebrania nie jako jeden ze specjalnych punktów porządku obrad, lecz jako jeden z licznych i przewidzianych w obradach **wolnych wniosków**, do których, w pojęciu moim, zastrzeżenie par. 31 nie może być stosowane.

Sprawy, zapowiedzianej w przypisie redakcji, o zamiarze Zarządu Tow. Łow. Z. W. anulowania uchwały Walnego Zebrania, dotyczącej utrzymania w sile obowiązującej obecnie daty rozpoczęcia polowania na młode cietrzewie, dotykać nie zamierzam, uważając takową za bardzo delikatną materię, co do której tylko przyszłe Walne Zebranie mogłoby zająć stanowisko.

O łaskawe umieszczenie podanych wyżej moich wyjaśnień w jednym z najbliższych numerów Trąbek Myśliwskich uprzejmie upraszam.

Z prawdziwym szacunkiem i poważaniem

M. Borowski.

Od Redakcji. Zamieszczając list powyższy, zaznaczamy: 1) uchwały zjazdu delegatów, zwołanego z polecenia centralnych Władz Związkowych, nie mogą być ani prawne, ani bezprawne, gdyż mają charakter zwykłych postulatów; postulaty te nie mają wogóle znaczenia „uchwał” w sensie prawnym i dopiero od czynników kompetentnych zależy to lub inne ustosunkowanie się do tego rodzaju postulatów; 2) par. 31 statutu T-wa wyraźnie mówi: „wszystkie sprawy wnoszone na rozpatrzenie walnego zebrania winny być **uprzednio** rozpatrzone przez zarząd”. Przepis ten jest tak wyraźny, że nie może dopuścić dwojakiej wykładni... Niestety jednak w życiu naszego T-wa przepis ten często bywa zapomniany i często pojęcie „wolnych” wniosków bywa nadmiernie rozszerzane... W konsekwencji zarząd jest pozbawiony możliwości gruntownego **przepracowania** danego wniosku, jest często wnioskiem tym poprostu zaskoczony, a sam wniosek zostaje rzucony na flukta przypadkowej większości obecnych na Walnem Zebraniu. Co do ostatniej uwagi listu śpieszymy zapewnić Czcigodnego Autora, że Zarząd T. Ł. Z. W. zaniechał projektu zawieszania uchwały Walnego Zebrania...